№ 36 Wilno, dnia 29 Listopada 1925 r. Rok I.



TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

Juljusz Słowacki.

SOWIŃSKI W OKOPACH WOLI.

(1831 r.)

W starym kościółku na Woli
Został jenerał Sowiński,
Starzec o drewnianej nodze,
I wrogom się broni szpadą;
A wkoło leżą wodze
Batalionów i żołnierze
I potrzaskane armaty
I gwery... Wszystko stracone!

Jenerał się poddać nie chce,
Ale się staruszek broni,
Oparłszy się na ołtarzu,
Na białym bożym obrusie,
I tam łokieć położywszy,
Kędy zwykle mszały kładą —
Na lewej ołtarza stronie,
Gdzie ksiądz ewangelię czyta.

I wpadają adjutanty,
Adjutanty Paskiewicza,
I proszą go: „Jenerale,
Poddaj się—nie giń tak marnie!"
Na kolana przed nim padli,
Jak ojca własnego proszą:
„Oddaj szpadę, jenerale —
Marszałek sam przyjdzie po nią."

„Nie poddam się wam, panowie —
Rzecze spokojnie staruszek —
Ani wam, ni marszałkowi
Szpady tej nie oddam w ręce!
Choćby sam car przyszedł po nią,
To, stary, nie oddam szpady,
Lecz się szpadą bronić będę,
Póki serce we mnie bije.

Choćby nie było na świecie
Jednego już nawet Polaka,
To ja jeszcze zginąć muszę
Za miłą moją ojczyznę —
I za ojców moich duszę
Muszę zginąć na okopach,
Broniąc się do śmierci szpadą
Przeciwko wrogom ojczyzny,

Aby miasto pamiętało,
I mówiły polskie dziatki,
Które dziś w kołyskach leżą
I bomby grające słyszą —
Aby, mówię, owe dziatki,
Wyrosłszy, wspomniały sobie,
Że w tym dniu poległ na wałach
Jenerał — z nogą drewnianą.

Kiedym chodził po ulicach,
I śmiała się często młodzież,
Żem szedł na drewnianej szczudle
I często, stary, utykał —
Niechże teraz mię obaczy,
Czy mi dobrze noga służy,
Czy prosto do Boga wiedzie
I prędko tam zaprowadzi!

Nie klękajcie wy przede mną,
Bo nie jestem żaden święty —
Ale Polak jestem prawy,
Broniący mego żywota;
Nie jestem żaden męczennik,
Ale się do śmierci bronię,
I, kogo mogę, zabiję,
I krew dam—a nie dam szpady"...

To rzekł jenerał Sowiński,
Starzec o drewnianej nodze,
I szpadą się, jako fechmistrz,
Opędzał przed bagnetami —
Aż go jeden żołnierz stary
Uderzył w piersi i przebił,
Opartego na ołtarzu
I na tej nodze drewnianej.

. . . .

Było to w r. 1831. Powstanie listopadowe już prawie upadło. Rosjanie pod dowództwem Paskiewicza oblegli dn. 6 września Warszawę i największy atak skierowali na przedmieście stolicy, Wolę, której obroną kierował stary jenerał polski, Józef Sowiński, kaleka o jednej nodze. Wszystkich kanonierów wybiły armatnie pociski Rosjan, ale Sowiński o poddaniu się słuchać nie chciał. W końcu z garstką pozostałych żołnierzy wepchnięty został do kościoła, oficerowie rosyjscy wzywali go by się im poddał. „Polak poddaje się tylko Bogu i śmierci", zawołał Sowiński, „Ognia". Moskale wywalili drzwi kościelne, wpadli do środka i zaczęli mordować bagnetami polskich żołnierzy. Ugodzony kulą padł ostatni przy ołtarzu Sowiński, a tak groźnie wyglądał po śmierci, że Rosjanie spojrzawszy na zabitego, uciekli z kościoła. Śmierć bohatera, cudnym wierszem opisał wielki nasz poeta Juljusz Słowacki.

Mel. Czar.

Do granicy!

(Dokończenie).

Czołgali się jakiś czas pomiędzy krzakami i zdało się im, że się od niebezpieczeństwa oddalają. Ale zaledwie się posunęli kilkanaście kroków, jak z pod ziemi — stanęło przed nimi kilku ludzi. Dwaj z nich mieli karabiny na ramieniu.

— Ach, wy włóczęgi, — to wy z polskiej strony, na przeszpiegi... i jeden z nich pchnął Janka, a drugi schwycił Stasia za kark i rzucił o ziemię. Staś upadł, ale wnet bez jęku zerwał się, i wraz z Jankiem pędzeni ku drodze szli naprzód.

— E, wy niegodziwcy — to tak? łotry, szpiegi, poczekajcież...!

W pobliżu widać było wioskę.

— Co z nimi zrobić, trzeba ich do komisara... mówił jeden, a starszy, widocznie zmęczony, odpowiedział:

— A co my z temi szczeniakami będziemy się rozprawiali, kto wie czy komisarz jest w domu, — ot zamkniemy ich na noc w tym chlewiku, a jutro rano już tam ich zrewidują i rozprawią się z nimi jak trzeba...

Zgodzili się.

Opodal od drogi stał chlewik, widocznie pusty i już walący się.

Jeden ze zbrojnych drzwiczki otworzył i krzyknął:

— Marsz! wszedł Janek, za nim Staś, zamknięto drzwi i skobel zatkano kołkiem.

— Nu, gotowe... chodźmy do chaty, ja cały dzień łażę o głodzie... powiedział ze złością.

Poszli. Dzieci słyszały jak się oddalają i wkrótce kroki ich ucichły, tylko z wioski gwar jeszcze dolatał.

Janek już wchodząc do chlewika rozejrzał się po nim uważnie. Nie było tu nic, tylko przewrócone dnem korytko. Usiedli na niem.

Chlewik był niski, na jeden bok pochylony, poszyty słomą, której snop spory w jednem miejscu był wydarty.



Janek patrzył na ten mały otwór i przemyśliwał. Staś bojaźliwie spoglądał dokoła i coraz rzucił okiem na brata. O posiłku nawet zapomniał, ale Zosia poczęła się gramolić chcąc wydostać się z chustki. Janek pokazał na migi bratu, żeby dał jej sera. Zosia sprawiała się cicho, jakby czuła grożące niebezpieczeństwo, ale ser jadła.

— Zjedz i ty, — powiedział Janek.

— Ja się tak boję i jeść nie mogę, szepnął Staś. Janek zalecił mu milczenie, Zosię wziął na kolana wkrótce też mała usnęła. Siedzieli tak nieruchomo czas długi, aż w wiosce uspokoiło się wszystko, ludzie posnęli, światła pogasły.

Wtedy Janek uśpioną Zosię położył na ziemi na chustce i końce jej związał, sam zaś wziął korytko postawił je jednym końcem do góry i oparł o ścianę. Lekko wsparł na niem nogę i wspiął się do góry. Zajrzał przez otwór strzechy i wrócił do Stasia. Coś szeptał mu na ucho, coś tłumaczył.

Staś choć trząsł się ze strachu, zbliżył się z bratem do korytka, Janek stanął pod otworem. Jak kot, Staś wdrapał się na ramię brata, cichutko wylazł przez dziurę i zsunął się na ziemię. Wtenczas Janek wziął owiniętą w chustkę Zosię, wspiął się na korytko, dosięgnął otworu

wysunął ten ciężar i powolutku spuszczał go na ręce Stasia. Tak też poszedł plecak, a nakoniec Janek wsunął się w strzechę i skoczył.

Byli na wolności, ale nie zupełnie bezpieczni. Jednak na rozmyślanie czasu nie było. Jeden z Zosią, drugi z plecakiem puścili się w las.

Chyłkiem, sprawnie posuwali się dalej, cisza była dokoła, tylko ptak czasem zatrzepotał skrzydłami, albo sowa gdzieś zahukała.

Śpieszyli się. Noc w maju krótka, zrobi się jasno, a wtedy...

Nagle las się skończył, poczuli chłodny powiew wiatru. Janek wytężył wzrok.

— Czyżby granica? pomyślał. Wprost przed sobą dojrzał słup i do Stasia szepnął:

— Już... serca im biły jak młotem, tylko Zosia spokojnie spała....

Przystawali i nasłuchiwali.... Cisza. Znów pełzną pomiędzy zaroślami.... Pas neutralny....

O gdybyż prędzej... jakże ta droga długą im się wydaje. Już, już widać słup drugi! Tam Polska granica! Jeszcze kawałek, — jeszcze. Pełzną, coraz bliżej, coraz bliżej, dotarli do słupa...

Wtem naraz:

— Stój, — kto idzie? ale Janek już wiedział.

Szybko podniósł się na nogi i salutując „Cześć“ wyrzekł.

Żołnierz polski zbliżył się na dwa kroki.

— Kto jesteś? pyta.

— Jestem harcerz z Mińska, to mój brat Staś, a to kontrabanda, śmiało zażartował, wskazując na zawiniątko na swoich plecach Żołnierz dotknął zawiniątka, a w tej chwili obudziła się Zosia i poczęła wołać:

— Janek, Janek, gdzie ty?

Zaśmiał się żołnierz, że mała szuka brata siedząc na jego plecach i powiedział:

— No, no, dzielny z ciebie chłop! chodźcie na tę stronę, tuście już bezpieczni. Zaraz będzie zmiana warty to razem pójdziemy do wioski. Pewnie głodni jesteście?...

Słońce rzuciło na wędrowców pierwsze promienie,

a oni leżąc na ziemi czuli się tak bardzo szczęśliwymi, że zapomnieli i o głodzie i znużeniu.

Opowiadali żołnierzowi swoje przygody, cieszyli się widokiem białego orła i z trudem zdobytą wolnością.

Janek wpół słowa przerwał opowiadanie i oniemiał: Z wysokiej przed nim trawy wysunął się pies:



— A toć to nasz biedny kaleka... zawołał. Pies ze skomleniem radosnem przypadł do rąk Janka i po kolei lizał ręce i twarze swoich wybawców. Radość była powszechna, a gdy przyszedł żołnierz, żeby zmienić wartę, wszyscy ruszyli ku pierwszemu posterunkowi polskiemu.

Pies nie mógł za nimi nadążyć, zatrzymywał się i skomlił. Staś wtedy wziął go na ręce i mówił:

— Ach, ty skomliku, bądźże już cicho, pojedziesz z nami do Wilna, razem z nami do kochanego Wilna...

Jakoż po całodziennym wypoczynku i dobrze spędzonej nocy, na drugi dzień rano z pobliskiej stacji żegnani przez żołnierzy odjechali do Wilna, wraz z psem Skomlikiem.

Koniec.

Helena Świeżyńska

Historja Sycylijskiego osiołka.

(Ciąg dalszy).

Tym razem powozi najstarszy syn właściciela, dwunastoletni wyrostek imieniem Giacomo*) o włosach i oczach czarnych jak węgle. Wysiedział się całe dopołudnie w szkole, a teraz, przerzuciwszy z fantazją pelerynkę przez ramię, zacina osiołka batem rad przejechać się i zobaczyć miasto, aż mu się czarne oczy palą do tej jazdy. — A niech tylko uda mu się z bielizną wcześniej skończyć, to pogania osiołka i do portu rusza, a tam godzinami by stał patrząc na statki co przychodzą i odchodzą w różne strony. — Są tam wielkie parowe okręty z potężnemi kominami, z których dym bucha czarny, co przez morza, ba! — przez oceany, jadą do innych części świata. Są statki mniejsze co do Neapolu, Messyny i innych miast włoskich odchodzą. — Są pasażerskie z jasno pomalowanemi pomostami i rzędami kajut, których okrągłe okienka błyszczą w słońcu. — Są towarowe, ciemne i zniszczone ciągłą wędrówką. — Są małe statki rybackie i wielkie łodzie, co z rozpiętemi żaglami jak ptaki fale prują, a co za ryby, co za dziwne stworzenia przywożą ze swych po morzu wędrówek. —

Chłopak patrzy, dziwi się, zachwyca i nigdy dość napatrzeć i nazachwycać nie może, a zawsze marzy kiedy to on na taki statek jako marynarz wsiądzie i w świat pojedzie, by owe obce kraje zobaczyć, by poza zatokę i góry otaczające Palermo wyjrzeć, by na pełnem morzu odetchnąć. A osiołek tymczasem, ze łbem spuszczonym, stoi smutny i znudzony marząc o odpoczynku, stajence swej i żłobie. — I do głowy im obu nie przyjdzie, że to on, pierwszy, popielaty osiołek w świat przez morze pojedzie, choć wcale o tem nie myśli i niema na to ochoty.

*) Czytaj Dżjakomo.

W niedzielę zaprzęgają osiołka, jeszcze staranniej niż zwykle, muskają kolorowe piórka, wycierają lusterka uprzęży. Tym razem nie warzywa będzie wiózł, lecz swoich państwa, którzy odświętnie się stroją. Sam właściciel siada na przedzie i będzie powoził, obok zajmuje miejsce jego żona, w ślicznej, czarnej koronce na głowie, a dzieci przyczepiają się, gdzie które może i dalejże w drogę.— Najpierw jadą na mszę do kościoła, których tyle w Palermo i takie piękne, czasem nawet przed wspaniałą katedrą sie zatrzymują.— A potem na spacer, za miasto w góry. — Wtedy osiołek musi wytężać całą swoją energję i wszystkie siły, by wózek pod górę uciągnąć, zwłaszcza, że na kamienistej, a pochyłej drodze nogi się ślizgają, a dyszelki podrywają w górę biedne zwierzę, tak iż czasami trudno mu samemu na nogach się utrzymać. Najczęściej jednak jadą do botanicznego ogrodu, i tam osiołek czeka pod bramą, a dzieci z matką idą napatrzeć się na różne piękne rośliny, pochodzące nietylko z Włoch ale i z obcych krajów. — A jakich tam niema! — Wznoszą w górę swe pióropusze palmy daktylowe. Koło stawu chwieje się trzcina cukrowa i lekkie papirusy z których dawno, dawno temu papier wyrabiali. Jest krzak kawy i krzak bawełny, osypany białemi puchami swych owoców. Jest wielki fikus-baobab z którego konarów spuszczają się ku ziemi łodygi, by doszedłszy do gruntu korzenie weń zapuścić i w nowy pień wyrosnąć, tak iż jedna roślina tworzy cały lasek splątanych i zrośniętych z sobą pni, konarów i korzeni. —

A jest też jako okaz we Włoszech nieznany, nasza polska sosna! — Dzieci biegają wśród cienistych alei, podziwiają kwiaty, których zerwać ani dotknąć nie wolno, a dwunastoletni Giacomo wciąż myśli: — kiedy to on zobaczy lasy iglaste, śnieżną okiścią pokryte? — (Jeszcze jak żyje śniegu nie widział, a właśnie północ Europy z geografji przechodzi). — Lub też, kiedy to on będzie jadł daktyle prosto z drzewa? — (bo w Palermo one nie dojrzewają). — I ani się domyśla, że jego pokorny osiołek, co tam pod bramą czeka, pierwszy do kraju daktyli zawędruje. —

(d. c. n.).